

WOJCIECH KULAWSKI

Lista sześciu

Rozdział 1

Dwójka policjantów weszła do japońskiej restauracji. W ciemnym lokalu ujrzeli zastępcę prokuratora regionalnego Pragi Południe Mariana Suskiego. Szara eminencja warszawskiego światka prawników, wiecznie zasępiiony urzędnik o twarzy przebrzmiałej gwiazdy Hollywood roztaczał wokół siebie aurę człowieka szlachetnego i prawego. Nigdy nie brał od klientów żadnych upominków, nawet kwiatów.

– Co mamy? – zapytał komisarz Rafał Trygar, przepitym nieobecny głośm.

Wchodząc do restauracji, zamierzał powiedzieć coś bardziej odkrywczego niż oklepany zwrot, którego używają pisarze kryminałów albo aktorzy seriali kryminalnych. Mógłby zaskoczyć wszystkich stwierdzeniem „czołem o ścianę, powiedzcie, co za szambo wybiło w tym miejscu”, albo „dzień dobry wszystkim, jakże miło was widzieć, powiedzcie azaliż, co się tu stało”. Zganił się w myślach za podobnie durne pomysły, bo pytanie „co mamy?”, faktycznie było niczym kryminalna mantra.

Suski odchrząknął, mierząc Rafała prokuratorskim spojrzeniem.

– Ciężka noc?

– Źle ostatnio sypiam – wymamrotał komisarz, przecierając wierzchem dłoni po trzydniowym zarostcie.

Suski przymknął oko.

– Czas na emeryturę?

– Co mamy? – powtórzył Trygar.

– Na piętrze w łóżku siedzi kloc VIP-a.

– Kloc? – zapytał Trygar, ale przypomniał sobie, że pracownicy zakładów pogrzebowych nazywają w ten sposób zwłoki o dużych gabarytach.

– Kto? – dodał.

– Prezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska.

– Eugeniusz Tadla? – zdziwił się Rafał.

– Ostrzegam, że nie wygląda tak dobrze, jak w telewizji – dodał Suski.

Restauracja Honsiu funkcjonowała na warszawskim Wawrze już od kilku lat.

Stołeczna policja podejrzewała właściciela lokalu o czerpanie korzyści z nierządu zatrudnionych w nim Tajek i Wietnamek. Kobiety, stylizowane na gejsze, uprzyjemniały gościom czas, a jeśli klient wyrażał taką chęć, w zależności od upodobań mógł zakupić dodatkowe usługi. Często widywano w restauracji urzędników państwowych spotykających się z przedstawicielami świata biznesu, krążyły nawet plotki, że miejsce to kontroluje

zorganizowana grupa przestępcza, choć nigdy nie udowodniono tego faktu właścicielowi lokalu, sześćdziesięcioletniemu Japończykowi Thien Phan.

– Jak zginął? – zapytał Trygar.

– Popruł się. – Wypowiedzi Suskiego zwykle były pełne prawniczej nowomowy trudno zrozumiałej dla zwykłych śmiertelników. Nie stronił również od niewybrednych docinek okraszonych czarnym humorem.

– Słucham? – Starszy aspirant Tymon Foltyński unióśł brwi. Ze względu na swój stosunkowo krótki staż w policji kryminalnej nie zdołał jeszcze przywyknąć do specyficznego poczucia humoru Mariana.

– Wypatroszył się, wybebeszył, wypruł sobie flaki. Mam wymieniać dalej? – zapytał prokurator.

– Nie dziękuję. Zrozumiałem aż za dobrze – uciął Tymon.

– Minister Spraw Wewnętrznych dzwonił do mnie rano i oznajmił, że jest tą sprawą wielce zaniepokojony – kontynuował Suski.

– Martwi się o stołek – skomentował Trygar, na tyle jednak cicho, aby nikt go nie usłyszał.

W mrocznym wnętrzu restauracji za barem stał wysoki, postawny mężczyzna koło pięćdziesiątki przypominający emerytowanego kulturystę. Polerując kieliszki, zachowywał się tak, jakby nocne zajście było zwykłym folklorem restauracji Honsiu, a morderstwa gości zdarzały się równie często, jak burdy wzniecane przez podchmielonych klientów. Po prawej stronie obok parkietu do tańczenia znajdowały się łoże dla VIP-ów. W centralnym miejscu sali stała podwieszana do sufitu przezroczysta szklana półka z barierkami i metalowymi poręczami. Ciekawe rozwiązanie pozwalało nie tylko zaoszczędzić sporo miejsca w restauracji, ale dawało niecodzienną możliwość obserwowania występów skośnookich piękności pod bardzo atrakcyjnym kątem. Lustra zawieszane na suficie potęgowały efekt, sprawiając, że żaden szczegół kobiecych atrybutów nie mógł umknąć uwadze rozentuzjasmowanej męskiej publiczności.

Czerwone meble i krzesła z bambusowymi wstawkami, zdobione abażury z motywami smoków, japońskie znaki i symbole ludowe tworzyły specyficzny dalekowschodni klimat. Na parapetach dumnie prezentowały się kilkunastocentymetrowe ręcznie malowane posągi gejsz, trzymających w rękach bibułkowe parasolki. Wystrój wnętrza świadczył o dobrym guście właściciela Honsiu.

– Chyba z rok nic ciekawego się tu nie działo – wymamrotał Trygar, wspominając ostatnią wizytę w lokalu. – Chodźmy na górę obejrzeć eksponat.

Weszli w wąski korytarz, w którym pracował technik śledczy zabezpieczający mikroślady i odciski palców. Ruszyli schodami w górę, przyglądając się kolekcjom obrazów z samurajami i zdjęciami z filmów Ishiro Hondy, Juny Fakudy i Akiro Kurosawy. Nieco wyżej na półpiętrze wisiało kilka egzemplarzy broni białej, wśród których królowały miecze i sztylety. Wygląd drugiego piętra nie pozostawiał żadnych złudzeń, że oto wkracza się w świat cielesnych uciech. Wyłożone różową tapetą ściany z rysunkami kobiecych aktów oświetlane były okrągłymi kinkietami o czerwonych abażurach. Drzwi do siedmiu pokoi zdobiły japońskie napisy, znaczenia których mężczyźni mogli się jedynie domyślać.

– Panie lekkich obyczajów witały gości w tradycyjnych strojach gejsz – powiedział prokurator, zatrzymując się obok kolekcji rycin wiszących na ścianie.

– Gejsze nie były prostytutkami – zaproponował Tymon. – To mylne przekonanie przywiezione przez żołnierzy amerykańskich z Wietnamu, gdzie często obsługiwały ich kobiety pomalowane jak gejsze. prostytutki japońskie nazywały się Djoro.

Trygar mruknął pod nosem, karcąc młodszego kolegę wymownym spojrzeniem.

Drzwi do jednego z pokoi były otwarte, we wnętrzu pracowała policyjna ekipa dochodzeniowo-śledcza. Z każdego zakamarka emanował blichtr i kicz; różowe rolety, barek z alkoholem i ogromne łóżko, które niejedno już widziało. Technik szukający śladów skinął głową w stronę prokuratora i policjantów, którzy ostrożnie weszli do wnętrza pomieszczenia. Lekarz medycyny sądowej pochylał się nad ciałem, wykonując wstępne oględziny zwłok. Pośrodku łóżka, zgięty w pół, niczym hindus modlący się nad brzegiem Gangesu, klęczał tęgi nagi mężczyzna.

– Chodząca reklama ekologicznego stylu życia – rzucił Tymon, jednak żart rozbił się o ścianę milczenia.

Foltyński nie znoślił unoszącego się w powietrzu charakterystycznego zapachu śmierci. Był to jeden z tych elementów, do których aspirant nie był w stanie się przyzwyczaić, choć wybijał mu właśnie piąty rok pracy w policji i pierwszy rok w kryminalnych. Czasami zastanawiał się, czy dobrze zrobił, rezygnując z posady dzielnicowego. Spisywałby teraz protokoły interwencyjne związane z przemocą w rodzinie, albo przesłuchiwał świadków osiedlowej burdy sprowokowanej przez osiłka, próbującego popisać się przed nową narzeczoną.

Foltyński nie mógł zapomnieć pierwszego trupa jakiego przyszło mu oglądać podczas służby prewencyjnej w trzecim miesiącu pracy w policji. Wezwano ich do samotnego mężczyzny, który powiesił się w stodole. Kolega, z którym Tymon był w parze, wykazał się przebiegłością i sporą zapobiegliwością, albo po prostu wiedział, co się święci, bo najszybciej

jak tylko potrafił, udał się po posiłki, nakazując pilnować nieopierzonemu funkcjonariuszowi ciała przed wścibskimi oczyma wiejskiej gawiedzi.

– Zostań z breloczkiem – rzucił i odszedł.

Foltyński spędził z denatem najgorszą godzinę swojego życia. Odwracał się co chwilę, patrząc, czy trup się nie poruszy. Tygodniami potem śniły mu się wybałuszone oczy, ośliniona twarz, wystawiony język i blada cera pełna zielonych żył i przebarwień. I choć minęło od tamtego czasu pięć lat, aspirant nadal czuł się nieswojo, kiedy przyszło mu przebywać w towarzystwie zmarłych. Czasami zastanawiał się, czy tylko on ma podobne problemy, bo obserwując Rafała Trygara można było dojść do wniosku, że komisarz czerpie egzaltowaną radość z obcowania z trupami. Zresztą Rafał przypominał czasami sztywnego, szczególnie na drugi dzień po ciężkiej nocy zakrapianej alkoholem. A problemy z procentami miało wielu policjantów, którzy odreagowywali stres związany z pracą. Bo jak powiedzieć głowie, że to, na co patrzą oczy, to tylko zdarzenie, które należy odnotować w policyjnych aktach. Podświadomość cały czas pracowała, zmieniając psychikę nieodwracalnie.

Na czerwonej pościeli klęczał Eugeniusz Tadla. Opierał się głową o łóżko, obie ręce trzymając w okolicy brzucha. Włosy z łysiejącej głowy postanowiły przewędrować niżej, wypełniając większą część pleców zmarłego. Wnętrznosci wydostały się z jamy brzusznej. Zapach nieprzetrawionego jedzenia zmieszane z ekskrementami wypełniały powietrze.

Foltyński wyciągnął z kieszeni bawełnianą chusteczkę i przyłożył ją do ust.

Trygar wręcz przeciwnie, jakby zachłystywał się trupim odorem, zmrużył oczy i przyglądał się ciału prezesa z zainteresowaniem.

– Co o tym sędzicie? – zagadnął.

– Samobójstwo? – bardziej stwierdził niż zapytał Foltyński, nie odrywając chusteczki od ust.

Suski nie odpowiedział, drapiąc się po rzadkich, siwych włosach.

– Kilka elementów mi nie pasuje – odpowiedział wreszcie. – Po pierwsze nie miał powodu, aby popełnić samobójstwo. Tadla sprawiał wrażenie człowieka szczęśliwego. Kilka miesięcy temu został awansowany przez premiera na prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. Całkiem spore sumy na koncie w banku, rozwijająca się kariera polityczna, piękna młoda żona, dwójka dzieci.

– Co można na szybko powiedzieć o okolicznościach śmierci Tadli? – Trygar zwrócił się do lekarza medycyny sądowej pracującego przy zwłokach.

Ubrany w biały kitel szczupły mężczyzna z wąsikiem wyprostował się, próbując pohamować grymas bólu malujący się na twarzy. Technicy, czy medycy sądowi zbierający

dowody z miejsc zbrodni musieli pracować w kucki, czy nawet leżeć, co sprawiało, że często cierpieli na choroby kręgosłupa. A miejscami takimi w polskich realiach były najczęściej zapyziałe meliny cuchnące moczem, gdzie podczas libacji alkoholowej jeden sąsiad zakatrupił drugiego, albo żona wbiła mężowi nóż kuchenny pod żebro, bo spojrzał lubieżnie na inną kobietę. Foltyński zapamiętał sobie narzekania jednego z pracowników technicznych zabezpieczających dom pod Pruszkowem, który po przyjeździe na miejsce zastanawiał się, gdzie położyć kurtkę, aby nie pobrudzić jej gęstymi substancjami organicznymi niewiadomego pochodzenia.

– Cięcie sztyletem wykonane zostało od lewej strony do prawej i ma jakieś dwadzieścia centymetrów – zaczął lekarz, przeciągając się niczym kot. – Jest na tyle głębokie, że spowodowało rozległe uszkodzenia narządów wewnętrznych, które wydostały się z jamy brzusznej.

– Czy możliwe, że ofiara wykonała tak duże cięcie samodzielnie? – zapytał Trygar.

– Przy odpowiednio mocnym cięciu, mija kilka sekund zanim uszkodzenia organów wewnętrznych i krwotok sprawiają, że człowiek traci przytomność – ciągnął lekarz.

– Samurajowie nie mieli z tym problemów – dodał Trygar.

– Pierwsze cięcie wykonywane było zawsze poziomo, z lewej strony na prawą. O ile samuraj miał jeszcze siły, próbował wykonać cięcie pionowe – wtrącił się Foltyński, przecierając chusteczką spocone czoło. – Dodatkowo wasał, albo jakiś przyjaciel samobójcy ścinał mu mieczem głowę i to w taki sposób, aby ta pozostała przytwierdzona do ciała fragmentem skóry i aby nie potoczyła się po ziemi.

– A co by się stało, gdyby głowa się potoczyła? – zapytał zaintrygowany Trygar.

– Ucierpiałby na tym honor samobójcy. W praktyce rzadko udawało się tak precyzyjne cięcie. Czasami trzeba było poprawiać, wykonując drugie i trzecie. Sekundanci potrafiący dobrze władać mieczem byli bardzo cenieni wśród samurajów chcących popełnić samobójstwo. Pożyczali ich sobie czasami w ramach starej przyjaźni.

– Chciałbym pożyczyć wasala, aby precyzyjnie obciął mi głowę. Dziękuję za taką przysługę – dowcipkował Trygar. – A po co samurajowie odbierali sobie życie?

– Aby się oczyścić. Po samobójczej śmierci, automatycznie odpuszczano im wszystkie winy. Po śmierci byli czyści i bez grzechu.

Lekarz medycyny sądowej poprosił jednego z techników i Rafała Trygara, aby pomogli mu przewrócić ciało otyłego mężczyzny na plecy. Foltyński musiał się odwrócić, aby nie wymiotować. Obslizgłe jelita wypadły z jamy brzusznej wraz z zawartością żołądka, lekarz podniósł wnętrzności i włożył je z powrotem do otłuszczonego brzucha denata.

Technik zabezpieczył nóż, który wypadł z rąk zmarłego.

– Coś wam to mówi? – zapytał prokurator, biorąc ostry przedmiot do ręki i unosząc go w górę.

– To Tanto, specjalny sztylet do harakiri, który... – zaczął Foltyński.

– Mamy coś jeszcze? – Trygar przerwał, znudzony wywodami młodszego kolegi.

– Znaleźliśmy jeszcze to – rzucił Suski, wręczając Rafałowi zabezpieczoną kartkę, na której ktoś napisał długopisem krótki tekst.

Trygar przyglądał się chwilę kawałkowi papieru, jakby próbował wyczytać z niego jakieś ukryte informacje.

– Wiersz? – zapytał zaintrygowany.

– To wiersz śmierci – odpowiedział Foltyński, biorąc kartkę od komisarza. – Pisane były przez samurajów, chcących popełnić samobójstwo i były sposobem pożegnania się z życiem, ostatnią formą twórczości człowieka, przejawem sztuki i duchowości. W buddyzmie śmierć nie jest niczym złym, dlatego w wierszach śmierci zwykle opisywano ją jako piękną, ulotną i metaforyczną.

Rafał mruknął, odebrał kartkę od Tymona, po czym z niemałym wysiłkiem odczytał tekst na głos.

Sześciu samurajów

Raz na miesiąc wybrany jeden

Wysłany do pradziejów

Karą za Eden

– Zawsze byłem kiepski z interpretacji wierszy. Rozumiecie coś z tego? – zapytał.

– Samurajowie byli bohaterami filmu Akira Kurosawy – zaczął Tymon. – Ale było ich siedmiu, a nie sześciu.

– Raz na miesiąc wybrany jeden – zastanawiał się głośno Stefan. – Czyżby to zapowiedź kolejnych trupów?

– Motyw zemsty – stwierdził Tymon. – To również zaprzeczaloby samobójstwo.

– Poczekajmy na mikroślady, odciski palców, obdukcję i sekcję zwłok – stwierdził Suski. – Bez tego, to jak wróżenie ze zlewki po fusach.

– Zgodnie z procedurą prowadzimy śledztwo w kierunku domniemania morderstwa. – stwierdził Foltyński.

Ponieważ Marian milczał, Tymon zadał pytanie:

– A co powiedzieli pracownicy z dołu, może któryś z klientów bzykający Azjatkę coś usłyszał?

– Tamtego dnia w restauracji Honsiu przewinęło się w sumie kilkadziesiąt osób, były też ważne osobistości, że się tak wyrażę, z establishmentu – cedził słowa Suski.

– Kto taki? – zaciekał się Trygar.

– Politycy, sportowcy a nawet kilku całkiem znanych aktorów teatralnych.

– A ile osób korzystało z usług prostytutek?

– Kilkanaście – powiedział prokurator, wstrzymując oddech, jakby przygotowywał się do tyrady oskarżeń, jaką miał w zwyczaju wygłaszać na sali sądowej. – Tadla po skorzystaniu z usług skośnookiej gejszy powiedział, że źle się czuje i chce zostać sam. Wynajął pokój aż do rana i poszedł spać. Dopiero o świcie właściciel lokalu podenerwowany faktem, że prezes nie wychodzi z pokoju, zapukał do niego. Wtedy też znalazł ciało.

– Ktoś spokojnie mógł wejść do restauracji, pobiec na górne piętro do pokoju, zabić Eugeniusza Tadłę i bez większych problemów opuścić miejsce zbrodni – zastanawiał się głośno Tymon.

– Całkiem prawdopodobne, dziewczyny pobierały opłaty bezpośrednio przed świadczeniem usług – dodał Suski.

– Świadczeniem usług? – uśmiechnął się Foltyski. – Lepiej bym tego nie ujął. A jaka była procedura umawiania się z Azjatkami?

– A co, chciałbyś skorzystać? – zapytał Trygar.

Foltyski nie odpowiedział, odwrócił się w stronę prokuratora i wydał policzki, wyczekując odpowiedzi.

– Zainteresowany klient zgłaszał się u barmana mówiąc, którą z dziewczyn wybiera – kontynuował Marian. – Jeśli nie miał specjalnych życzeń, dostawał po prostu kolejną wolną panienkę. Kelner sprawdzał kalendarz i mówił petentowi, kiedy ma się udać na górę. Nikt nie kontrolował, kto wchodzi na piętro, nikt nie przeszukiwał gości. Większość klientów to były te same osoby, dobrze znane obsłudze, w razie problemów kobiety miały specjalne urządzenia, którymi alarmowały ochronę.

– Żadnego monitoringu? – zapytał Trygar.

– Goście chcieli być anonimowi, prywatność przede wszystkim, szczególnie że dość często byli to znamienici prominenci – powiedział Suski.

Kilka kolejnych minut upłynęło policjantom na beznamiętnym gapieniu się na pracę techników śledczych. Żaden z funkcjonariuszy nie chciał się odezwać pierwszy, wyczekując na wskazówki i dyspozycje prokuratora.

I doczekali się.

– Macie wolną rękę panowie. Prokuratura nadała tej sprawie najwyższy priorytet ze względu na starą przyjaźń Tadli z premierem. Naciski pochodzą z samej góry, a to nie wróży niczego dobrego. Już teraz zrobił się wokół morderstwa spory szum medialny. A obawiam się, że to dopiero początek – westchnął Suski.

– I jeszcze jedno – dodał po chwili. – Dostaniemy z wojewódzkiej aspiranta do pomocy. Zaangażujcie go w sprawę – wymamrotał, po czym w nienajlepszym nastroju opuścił pomieszczenie.